



## ADAM KURYŁOWICZ

Szósty dzień rozprawy, 17 marca 1947 r.

Początek posiedzenia o godz. 9.05.

Obecni jak w pierwszym dniu rozprawy.

**Przewodniczący:** Wznawiam rozprawę Najwyższego Trybunału Narodowego w sprawie przeciwko Rudolfowi Hößowi.

Obrona miała złożyć oświadczenie w sprawie do świadka Tadeusza Pietrzykowskiego.

**Adwokat Umbreit:** Najwyższy Trybunał Narodowy, co do powołania tego świadka nie zgłaszamy sprzeciwu.

**Przewodniczący:** Trybunał postanawia dopuścić dowód z [zeznań] tego świadka.

Proszę wezwać świadka Adama Kuryłowicza.

**Świadek podał co do swej osoby:** Adam Kuryłowicz, 57 lat, sekretarz generalny Komisji Centralnej Związków Zawodowych, żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, w stosunku do stron obcy.

**Przewodniczący:** Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

**Prokurator Cyprian:** Zwalniamy z przysięgi.

**Adwokat Umbreit:** Zwalniamy.

**Przewodniczący:** Trybunał postanowił za zgodą stron zwolnić świadka z przysięgi. Upominam świadka o obowiązku mówienia prawdy i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.

Proszę opowiedzieć Trybunałowi, jak przedstawiała się organizacja ruchu podziemnego w obozie oświęcimskim, z uwagi na to, że ze śledztwa wynika, iż świadek był czynny w tej organizacji i może naświetlić Trybunałowi, jak się rzeczy przedstawiały. Proszę w całości – i w szczególności, o ile świadek pamięta – przedstawić to Trybunałowi.

**Świadek:** Do obozu z Pawiaka zostałem dowieziony w maju 1941 r. Organizacja podziemna wówczas już istniała na terenie obozu. Kierowali nią śp. Norbert Barlicki, Stanisław Dubois, Kazimierz Czapiński i szereg innych więźniów, których w tym czasie zastałem już w obozie. Natychmiast poszerzyliśmy komórki organizacji oświęcimskiej, żeby móc w każdej komórce pracy i w każdym bloku mieć swoich przedstawicieli i utrzymać z nimi dokładną łączność, zbierając za pomocą obserwacji tych ludzi cały materiał, w jaki sposób władze obozu tępią i niszczą element polski.

W obozie było wówczas ok. 8000 więźniów. Pierwsze dwa miesiące pobytu w obozie były najtrudniejsze. Przybywający tam więźniowie byli skazani na wielkie szykany ze strony organizacji obozu, która metodami ściśle sprawowanymi starała się w pierwszym okresie pobytu więźnia w obozie wykończyć go, zniszczyć go fizycznie. Dlatego też naszym zadaniem było w pierwszym rzędzie podtrzymywanie na duchu Polaków, którzy przyjeżdżali do obozu, żeby zapobiec zjawisku [polegającemu na tym], że człowiek, który przyszedł nawet bezpośrednio z wolności lub z więzienia, załamywał się psychicznie w obozie i stawał się w krótkim czasie tzw. mużułmanem, tracił wolę do życia. Przypomnę nazwisko Edwarda Hryniewicza, człowieka, który fizycznie zbudowany był bardzo dobrze, cały okres swojej młodości poświęcił sportom wśród klasy pracującej, nazywaliśmy go na wolności „Turem”, tak silnie był zbudowany. Ale organizm jego wymagał dużej ilości pożywienia. My zaś otrzymywaliśmy w obozie racje następujące: rano kubek czarnej kawy, jeżeli się do niej dostało; w południe miska zupy składającej się z gotowanych karpielei, jak nazywaliśmy to w obozie, lub pokrzyw, lub liści kapuścianych – to było całe pożywienie w południe; wieczorem otrzymywano znowu kubek kawy i rację chleba, ok. 20 deka, i plasterek albo margaryny, albo jakiejś kiełbasy końskiej.

O 4.30 rano budzono nas, wypędzano na apel, a potem według przydziału pędzono do ciężkiej roboty fizycznej. Przypominam sobie, że w 1941 r. rozpoczęto już realizowanie planu budowy nowego wielkiego osiedla obozu, jaki miał znajdować się w Brzezince. Teren, na którym ten obóz był budowany, to był jeden wielki moczar. Tam pędzono więźniów i bez żadnego obuwia – bo chodziliśmy prawie boso albo w tzw. patynkach, to jest drewniana podeszwa i kawałek płótna nabitego na palce; to było całe obuwie więzienne – w takim ubraniu pędzono nas na te moczary i tam kazano pracować od godz. 6.00 rano do 12.00 w południe. Godzinna przerwa obiadowa, w czasie której przywożono nam z obozu zimną zupę, po czym natychmiast do dalszej pracy, aż do zmroku. O zmroku pędzono tych ludzi

na apel do centralnego obozu. Na apelu przetrzymywano godzinami bez powodu ludzi stojących na baczność. Przypominam sobie jeden z takich apeli, który trwał 17 godz. bez przerwy. Ludzie przez ten czas stali na baczność, nie wiedząc dlaczego. Były pogłoski, że chodzi o ucieczkę z obozu. Nad ranem spędzono nas do bloków i nie pozwolono odpocząć, [tylko] popędzono z powrotem do pracy. Wówczas w szeregach stojących podczas apelu zginęło 112 ludzi. Wycieńczeni padali trupem. Naszych słabszych, którzy padali, wyrzucano obok naszego bloku. SS-mani chodzili i obcasem buta walili w twarz albo w serce konającego więźnia. To wszystko działo się na naszych oczach.

Przy takich przeżyciach słabszy organizm człowieka, duchowo załamane, kończył się szybko. Stąd nasz alarm między sobą, żeby ratować ludzi i podtrzymywać ich w pierwszym rzędzie na duchu, a nadto żeby nie pozwolić im upaść fizycznie. Staraliśmy się przede wszystkim zorganizować jedzenie w większej ilości. Powołując się na stan, jaki istnieje w obozie, alarmowaliśmy mieszkańców okolicznych wiosek, a ci dostarczali nam, wrzucając ukradkiem przez druty kolczaste, chleb, czasem nawet tłuszcze. Następnie staraliśmy się obsadzić tzw. kartoflarnię i kuchnię [ludźmi ze] swojej organizacji i w ten sposób mogliśmy zdobyć trochę więcej zupy lub gotowanych w łupach, zmiażdżonych kartofli. Na terenie obozu była prowadzona rzeźnia i postaraliśmy się, żeby wprowadzić tam naszą komórkę organizacji podziemnej, żeby zdobyć trochę końskiej kiełbasy, względnie mięsa. Do wozów, które wjeżdżały do obozu, porobiliśmy podwójne dna, między którymi staraliśmy się [ukryć] mięso i kiełbasę [i] dostarczyć do obozu. Blacharze wychodzili na zewnątrz i kiedy wracali do obozu, przynosili rynnę przygotowane w warsztatach poza obozem i w rynnach tych przynosili do niego jakąś żywność. W ten sposób organizacja mogła chociaż w minimalnym stopniu udzielić pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Tak samo wykorzystywane było to, że woziło się piasek i wywoziło żużel na zewnątrz. Każda taka sposobność była wykorzystana do wprowadzenia do obozu większej ilości jedzenia.

Okoliczna ludność pomagała nam obficie, jednak dostęp do niej był utrudniony. Była tylko jedna organizacja pracy, mianowicie organizacja geometrów, tzw. *Landmesserów*, którzy wychodzili na zewnątrz i przemierzali okolice koło Oświęcimia, przygotowane do rozbudowy obozu na 40 km<sup>2</sup>. To komando *Landmesserów* miało możliwość stykania się z ludnością cywilną mieszkającą w okolicach obozu i dzięki temu mogli dostarczać nam żywność, a z drugiej strony wszystkie wiadomości o obozie szły na zewnątrz. Jednak SS-mani i dowództwo obozu zorientowali się, że tą drogą przenikają na zewnątrz wiadomości o wszystkim, co się

dzieje w obozie, i dlatego w pierwszym okresie, kiedy natrafiono na ślady naszej organizacji, wyniszczono część *Landmesserów*, wystrzelano ich na bloku 11. Od godz. 8.30 salwami rozstrzeliwano dziesiątki więźniów, którzy byli podejrzani lub podpatrzeni przez tzw. kapusiów i wpadli w ręce wydziału politycznego, a kilka dni potem zostali rozstrzelani na bloku 11.

Kiedy z końcem 1941 r. zorientowano się, że te salwy zamiast uspokojenia obozu wywołują podrażnienie wśród więźniów, zastosowano tracenie ludzi za pomocą automatu, który przy strzałach oddanych do więźniów dawał tylko głuchy odgłos „paf”, a na zewnątrz nie było tego słychać. Był wówczas *Rapportführer* Palitzsch, który w jednym dniu potrafił 270 więźniów ze swojego automatu rozstrzelać i potem przechodził sobie przez obóz z karabinkiem, jak gdyby wracał z polowania.

O tym wszystkim organizacja natychmiast dawała znać, podawała dokładną liczbę, numery, a jeżeli można było, to i nazwiska więźniów, żeby świat był dokładnie poinformowany o naszych przeżyciach w obozie.

Jeżeli chodzi o rozbudowę obozu na 40 km<sup>2</sup>, to w pierwszym okresie nie było nam wiadome, dlaczego to jest robione. Na początku 1942 r. zaczęły nadchodzić pierwsze transporty Żydów słowackich i wówczas zorientowaliśmy się, że ten obóz jest obozem niszczenia elementu ludzkiego, nie tylko żydowskiego, bo w 1941 r. jeszcze Żydów nie było.

Oprócz SS-manów byli na terenie obozu więźniowie Niemcy, którzy w tym czasie zostali przywiezieni. Wytresowani w innych obozach, nosili zielone winkle – byli to przestępcy pospolici i bandyci, którzy byli najstraszniejszymi katami i mordowali dziennie dziesiątki osób.

Istniało tzw. *Sonderkommando*, do którego dostawali się ludzie za przeoczenie jakiegoś przepisu albo za nieprzyszyście guzika. Ponieważ przez sześć tygodni nie dawano nam zmiany bielizny, nic dziwnego, że roito się robactwo i kiedy w niedzielę przy przeglądzie bielizny je znajdowano, wówczas wysyłano do *Sonderkommando*. Było to najcięższe komando, które oznaczało dla więźnia śmierć. Kto się tam dostał, mógł się żegnać z najbliższymi kolegami, bo na pewno się już z nimi nie zobaczył. Wychodzili oni wcześniej od nas albo później na roboty i stojący w bramie obozu *Arbeitsdienstführer* dawał rozkaz: „40 albo 60 Männer”. Co to znaczy? Że dziś w czasie pracy mają zabić co najmniej 40 lub 60 osób. Jeżeli więcej, to dobrze, ale jeżeli mniej, to kapo tego *Sonderkommando* – jeżeli to się działo w niedzielę, to w poniedziałek – rzucał się na tych więźniów, swoich kolegów i zabijał ich

w sposób barbarzyński. Oni chodzili w tych samych pasiakach, tylko mieli na rękawie opaskę [z napisem] „Kapo” albo „Unterkapo” – i zabijali [tyle] więźniów, ile chcieli. Wystarczyło zmęczenie rąk człowieka, który już ustawał w pracy. Ja np. pracowałem przy betoniarce, gdzie cały dzień trzeba było rzucać żwir na maszynę. Sił brakło i ręce opadały. Wystarczyło, żeby kapo zobaczył, że pracujący stoi przez chwilę, a odbierał mu łopatę i uderzał po głowie nie tylko drewnem, ale i samą blachą. Więzień padał na ziemię, a ten obracał go twarzą do góry, kładł mu stylisko na szyi, stawał na jednym i na drugim końcu, pohaustał się parę razy na tym, a potem kopnął, żeby się tamten odwrócił twarzą do ziemi. Tak zabijali na moich oczach kapo i *Unterkapo* w ciągu dnia dziesiątki ludzi według rozkazu, który wydał taki *Arbeitsdienstführer*.

Gdy więźniowie słyszeli z bramy wydany rozkaz: „40 Männer”, tracili panowanie nad sobą i uciekali z szeregu na druty i jeżeli SS-mani nie zdążyli ich zastrzelić, chwyтали się za druty z prądem wysokiego napięcia.

Przypominam sobie moment śmierci harcmistrza okręgu warszawskiego prof. Sedlaczka, który przyszedł ze mną na tzw. Bauhof, gdzie biegiem trzeba było wyładować 20–22 wagonów naładowanych workami cementu po 50 kg. Biegiem trzeba było nosić do magazynu i biegiem wracać, a wagon nie był podstawiony pod magazyn, tylko umyślnie jakieś 200 m od magazynów, ażeby więźniom ciężiej było nosić. Po bokach naszej drogi stali SS-mani i bili. Otóż przypominam sobie – było to w lipcu 1941 r. – kiedy Sedlaczek nosił worek na ramionach odartych zupełnie ze skóry, bo te worki niszczyły naskórek, tak że krew się lała, i czy opuścił ten worek z cementem, czy pękło opakowanie, dość, że podszedł do niego SS-man – olbrzymi chłop, nazywaliśmy go „Japończykiem” – i uderzył go parę razy w twarz. Sedlaczek, znając język niemiecki, powiedział: „Znam naród niemiecki i jego kulturę i dziwi mnie, że pan bije człowieka wymęczonego pracą i wycieńczonego – za to, że worek z cementem wypadł mu z ręki. To nie jest godne narodu niemieckiego”. Wówczas SS-man zdjął karabin i zaczął kolbą okładać Sedlaczka. Ten upadł na ziemię. Kiedy drugi więzień nadszedł z workiem cementu, SS-man wziął worek i z całej siły rzucił go na leżącego na ziemi, przetrącając mu kręgosłup. Sam na własnych rękach odniosłem Sedlaczka do obozu i w kilka godzin potem zmarł on na bloku 28.

Oto obrazki, których mógłbym cytować tysiące z moich przeżyć w obozie. O tym wszystkim nasza organizacja informowała na zewnątrz.

Ale muszę powiedzieć, że i ofiary naszej organizacji były olbrzymie, a ludność, która nam dostarczała pomocy i była łączniczką między nami a światem zewnętrznym, została w ciągu 1942 r. całkowicie z okolicy usunięta, a według naszych wiadomości całkowicie wymordowana. Budynki po niej kazano nam rozbierać – dobre budynki, w których mieszkali przed paroma miesiącami nasi rodacy, w ciągu kilku miesięcy zniknęły z powierzchni ziemi, a na to miejsce stworzono pustkę, przez którą nikt z cywilnych osób przechodzić nie mógł. Łączność między światem zewnętrznym a naszym życiem była utrudniona. Musieliśmy sobie powiedzieć, że musimy spośród siebie wysłać na zewnątrz ludzi, którzy będą tworzyli nową komórkę łączności. Ucieczka jednego więźnia z obozu pociągała za sobą utratę życia całego szeregu ludzi. Możliwość ucieczki wprawdzie była, ale również wielka odpowiedzialność stała przed każdym z nas, który miał zamiar uciec z obozu. Mianowicie natychmiast wybierano z bloku, w którym mieszkał ten, co uciekł, szereg ludzi. Odbywało się to w ten sposób, że po apelu przychodził *Blockführer* i wskazywał według własnego uznania poszczególnych więźniów mówiąc: „Ab, ab”. I jednego po drugim 10 albo 15 ludzi wyrzucano z naszych szeregów i prowadzono na blok 11., a jeżeli na trzeci dzień ten, co uciekł, nie powrócił lub nie został złapany, to po trzech dniach ci ludzie zostali straceni, o ile dożyli.

Dlatego też decyzja nasza co do wysyłania ludzi na zewnątrz była trudna. A jednak na te drogi musieliśmy wejść, chcąc utrzymać kontakt ze światem zewnętrznym. Poszło kilkunastu ludzi i kilkunastu zginęło w naszej organizacji. Tropili nas panowie z naszej komando, najbardziej wydział polityczny, który organizował swoje jacejki wewnątrz naszej organizacji.

Wystarczy wspomnieć o panu Ołpińskim, który w 1939 r. w procesie drożdżowym z wiceministrem Starzyńskim przed wyrokiem sądowym uciekł do Niemiec, a w czasie kampanii 1939 r. mówił przez radio niemieckie – nie pamiętam w tej chwili które – o tym, jak Polacy niegodni są życia i wolności. Otóż pana Ołpińskiego wprowadzono do nas do obozu.

Przyjechał rzekomo aresztowany przez gestapo w Paryżu, jak mi osobiście opowiadał, był na usługach rządu londyńskiego. Naturalnie nie dowierzaliśmy mu, bo był wysłannikiem gestapo do obozu oświęcimskiego, ażeby jako Polak zdobył zaufanie wśród więźniów i tą drogą zdradził organizację na terenie obozu. Pan Ołpiński pomimo wielkiej opieki, mimo że mieszkał na specjalnym bloku 25., mimo że miał do usług całą organizację obozową i wszystkich lekarzy, doczekał się swego losu. Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób pana Ołpińskiego będzie można się z naszych szeregów pozbyć i go usunąć. Długi czas

medytowaliśmy nad tym i znalazło się wyjście, żeby wesz tyfusową panu Ołpińskiemu podsunąć. Kiedy popadł w chorobę tyfusową, nie udał się do szpitala, ażebyśmy go nie mogli wykończyć jako szpicla, bo jako szpicel służył wydziałowi politycznemu. Ale lekarze Polacy, którzy byli również w naszej organizacji, mimo nakazów pana naczelnego lekarza SS taką otoczyli Ołpińskiego opieką i staraniami, że jednak zdechł w obozie.

Organizacja nasza miała swoje jacejki w wydziale politycznym, mimo że tam się mogli dostać tylko najbardziej zaufani ludzie, co szli według ich myśli i postanowień, jednak potrafiliśmy tam swoich ludzi wsadzić i zdobywaliśmy wszystkie najtajniejsze dokumenty, jakie przez wydział polityczny i komendę obozu szły na zewnątrz. Kopie pozostały w naszych rękach i te kopie były wysyłane na zewnątrz drogą organizacji podziemnych.

W ten sposób organizacja nasza od początku, kiedy przyjechałem, aż do ostatniej chwili, do ewakuacji z 18 na 19 stycznia 1945 r., funkcjonowała z mniejszym lub większym sukcesem. Nazywam mniejszym sukcesem to, że zdarzały się takie wpadunki, że ludzie nasi przez nieostrożność lub przez szpiclów wpadali. Musieliśmy więc trochę tuszować swoją pracę w obozie, obawiając się, że przy stosowanych mękach, jakie spadały na złapanego z naszej organizacji, człowiek ten może nas wysypać pod [wpływem] cierpień, jakie mu były zadawane.

Jeden z ludzi naszej organizacji, Jarzębowski, geometra pracujący w komandzie *Landmesserów* zdołał uciec. Nawiązał kontakt z organizacją zewnętrzną. Dostarczył te materiały, które zdobyliśmy. Jednak przez nieostrożność – krążył za blisko naszego obozu, chcąc mieć z nami kontakt – został schwytyany [i] sprowadzony do obozu. [Był] maltretowany w straszliwy sposób, widziałem go leżącego na stole operacyjnym, nie było kawałka miejsca na głowie, na całym ciele zdrowego, wszystko było jedną raną, niebieskie. Prosił o truciznę. Nie mogliśmy mu [jej] dać, asystował lekarz SS. Opis ten znalazłem i w prasie. Był tam lekarz, który stał się sławny, Władysław Dering. Nie miał on odwagi podać mu trucizny, która była przygotowana. Jarzębowski powrócił do bloku 11. Żył pięć tygodni pod staranną opieką lekarzy po to, ażeby w piątym tygodniu zawisnąć na szubienicy. Zapewnił nas, że nikogo nie wsypał, że możemy spokojnie prace nasze prowadzić, bo mimo tortur i katowania stosownego do niego nikogo nie wydał. Tak zachował się człowiek organizacji i w tych warunkach można było organizację naszą prowadzić. Rozumie się – bardzo a bardzo [ostrożnie] dobierając do niej ludzi.

Jeżeliby trzeba było jeszcze naświetlić szerzej budowę organizacji: kto w niej był, czy to byli tylko ludzie jednego kierunku politycznego, [to] odpowiem, że w 1941 r., kiedy przyjechałem do obozu, organizacja opierała się o komórkę Wojska Polskiego, następnie mnóstwo działaczy z wolności, których się spotkało w obozie, również do organizacji tej należało. Szukano tylko ludzi z charakterem, którzy byliby godni zaufania i gotowi poświęcić się sprawie. W naszej komórce konspiracyjnej był również Jan Mosdorf. Siedział i współpracował z nami do ostatniej chwili swego życia. Później został rozstrzelany. Mówię to dlatego, aby w historii naszej może szerzej potraktować początki pracy konspiracyjnej, podziemnej, bo trudno było mówić, że w tych warunkach można było się oprzeć tylko na pewnej grupie ideowej, zbliżonych do siebie ludzi, kiedy możliwości były minimalne i trzeba było szukać również w szeregach innych organizacji współtowarzyszy godnych poświęcenia się dla sprawy.

Zginęło z naszej komórki organizacyjnej mnóstwo ludzi. Jednakże staraliśmy się następnie organizację w początkowej swej fazie zacieśnić. Kiedy większa liczba Polaków była zwieziona w ciągu 1942 r. (bo w 1941 r. dochodziło do nr. 18 000, a w ciągu dwóch miesięcy wymierały lub ginęły dwie trzecie transportu, tak że jedna trzecia z dowożonych Polaków przeżywała okres dwóch miesięcy), pierwsze dwa miesiące to był najcięższy czas dla więźnia. Pracował w najcięższych warunkach, nie mógł się jeszcze zorientować, nie umiał nawiązać kontaktu z organizacją. Najbiedniejszymi w obozie byli ludzie wsi. Nie umieli nawiązać łączności społecznej w pełnym tego słowa znaczeniu, starali się zamknąć w sobie – i ci ludzie najprędzej w obozie ginęli. Element, który przeszedł przez komórki organizacji społecznej na wolności, potrafił łatwiej nawiązać kontakt, lepiej współżyć między sobą, działać wspólnie, dzielić się wszystkim, czym można się było dzielić, aby ratować się przed śmiercią. A mimo to, powtarzam, dwie trzecie transportów, które przychodziły do obozu, w ciągu dwóch miesięcy ginęły. Pamiętam[, że] jesienią 1941 r. przyszło ok. 1,5 tys. mężczyzn, wysokich, rosnących z Zamojszczyzny i Kielecczyzny, wszyscy mężczyźni jak tury, dobrze zbudowani. Ale wobec tych braków żywienia wszyscy prawie w ciągu dwóch miesięcy zginęli. Wszyscy bez wyjątku. Szukaliśmy potem kogoś, kto by pozostał z tych transportów, nie mogliśmy nikogo znaleźć przy życiu. Opisuję to po to, aby dać obraz, jakie trudności ta organizacja podziemna miała w wyszukiwaniu i w utrzymywaniu kontaktu z poszczególnymi grupami Polaków. Było to trudne. Ludzie ginęli i dlatego trzeba było szukać coraz to nowych jednostek do współpracy.



Po 1942 r. organizacja została poszerzona przez dopuszczenie grup ideologicznie, politycznie zbliżonych do nas wśród elementu więźniów politycznych Niemców. I muszę powiedzieć, że nie duża liczba, ale kilka jednostek było wśród elementu więźniów narodowości niemieckiej, które rozumiały nas, naszą samoobronę, walkę, jaką prowadziliśmy, i trwały w naszych szeregach, dodając nam jeszcze bardziej wiary w siebie. Dzięki nim uzyskiwaliśmy nieraz materiały, które dla nich były bardziej dostępne aniżeli dla nas. O ile wiem, jeden z takich ideowych więźniów narodowości niemieckiej, Langbein, będzie tu przesłuchiwany. Był to kryształowy człowiek, co do którego nie mieliśmy nigdy ani na chwilę wątpliwości, że mógłby nas zdradzić lub stanąć nam na przeszkodzie. Ale – powtarzam – to były wyjątki. [Założenia] systemu, jaki istniał – narzuconego, przemyślanego przez dowództwo czy komendę obozu – inni Niemcy realizowali z całą świadomością, będąc na usługach tych metod, które były stosowane dla wyniszczenia wszystkiego, co polskie, a tym bardziej tego, co mogło być dla nich intelektualnie szkodliwe lub niebezpieczne. Tępiona zatem w pierwszym rzędzie była inteligencja polska. Tępiona bezwzględnie. Inteligentów zmuszano do najcięższych robót, kiedy taki człowiek nigdy w życiu fizycznie nie pracował, i dlatego te jednostki najprędzej się wykańczały w pracy fizycznej.

Tysiące ludzi wymarły w obozie śmiercią głodową. Ponieważ ten sposób odżywiania przy ciężkiej pracy fizycznej był niewystarczający, więźniowie puchli z głodu. Norbert Barlicki, mój przyjaciel, zginął śmiercią głodową. Byłem do ostatniej chwili przy łożu jego śmierci. Było to w sierpniu 1941 r., kiedy wyznaczono chorych ze szpitala do pierwszej próby gazowania na bloku 11. – ok. 700 więźniów, wśród nich większość oficerów armii radzieckiej. Norbert Barlicki był przez lekarza SS-mana przy mnie wybrany też do pierwszego gazu. Ale wcześniej szczęśliwie życie zakończył, sam umierając o godz. 5.00 po południu. Trudno było ratować człowieka, mimo że był moim najlepszym przyjacielem, z powodu braku środków odżywiania, jak również braku środków leczniczych. I dlatego ciało jego to był jeden wielki spuchnięty kadłub. Nogi, których dotykałem, to była jedna glina, w którą palce wchodziły głęboko. Tak, przytomny zupełnie, usnął i więcej się nie obudził.

Takich wypadków śmierci głodowej mieliśmy codziennie kilkadziesiąt. Na przykład wieczorem przyniesiono tzw. muzulmana po wieczornym apelu, a rano leżał już pod murem wyrzucony z rewiru szpitalnego. Dziennie przysyłano 160–180 więźniów, a rano w sali na podłodze przykrytych kocami leżało 25–30 ludzi, którzy już do rannej wizyty lekarza SS nie dożyli. A spośród tych chorych, którzy jeszcze żyli – jakieś 20–30 ludzi dziennie – połowa

kwalifikowana była na zastrzyk fenolu. Inni, jeszcze jako tako wyglądający, wysłani byli do rewiru na leczenie.

To był system, to nie były przypadki. Bo jeżeli człowiekowi nie dało się pożywienia, a kazano mu 12–14 godzin dziennie fizycznie pracować, to mógł on zasobem swoich sił pracować tydzień lub dwa, a później musiał zginąć. Każdy z nas zdawał sobie z tego sprawę. Na tym właśnie polegał przemyślany system niszczenia człowieka, niszczenia narodu polskiego.

Te zjawiska, o których powiedziałem, my kwalifikowaliśmy i informowaliśmy [o nich] na zewnątrz, aby świat się zorientował, że to nie jakiś kaprys Polaków czy złe nastawienie do narodu niemieckiego powodują, że ludzie za takie przestępstwa dostają się do obozów czy do więzień, tylko że bierze się ludzi zupełnie niewinnych, niemających nieraz nic wspólnego z życiem politycznym, konspiracyjnym, ludzi złapanych na ulicy, wyciągniętych z tramwajów i wywozi się ich natychmiast do Oświęcimia, a tam skazuje się ich na śmierć. „Za co?” – pytano. Tylko za to, że byli Polakami. To był system przemyślany, narzucony z góry, nie tylko przez reżim hitlerowski, ale jeżeli naród niemiecki wiedział o tym – a musiał wiedzieć, w jaki sposób tępi się sąsiedni naród polski – i nie reagował na to, nie przeciwstawiał się temu, to zawinił tu nie tylko reżim hitlerowski, nie tylko sam Hitler, Himmler czy siedzący tu Höß, ale cały naród jest odpowiedzialny za to, że dopuścił i pozwolił na mordowanie w podobny sposób setek tysięcy i milionów ludzi w obozie oświęcimskim. I dlatego uważam, że ważne są dla historii moje zeznania jako czteroletniego więźnia w Oświęcimiu, bo nie poszedłem na Zachód ewakuowany w styczniu 1945 r., tylko pozostałem i natychmiast przedstawiłem wszystkie nasze przeżycia obozowe. A najlepszym dowodem, jakie wrażenie zrobiło to na tych, którzy mnie słuchali, jest fakt, iż nawet moi znajomi z początku nie dowierzali mi i uważali, że Kuryłowicz jest niespełna zmysłów. Siedziałem całymi nocami i opowiadałem w Krakowie znajomym przeżycia z obozu jako bezpośredni świadek, ujawniałem to wszystko, a oni mówili: „Kuryłowicz jest niespełna zmysłów, bo to, co on opowiada, jest niemożliwe, żeby człowiek nad człowiekiem mógł w ten sposób się pastwić”. A jednak tak było. Trzeba, aby świat dzięki temu procesowi dowiedział się, jakim zwierzem był siedzący tu Höß, którego sumienie nie ruszyło [nawet] wówczas, kiedy – gdy siedział w Berlinie i przyjeżdżał do swojej żony, która z dziećmi mieszkała jeszcze w Oświęcimiu (a wiemy o tym dzięki naszej organizacji) – Hößowa alarmowała go, gdy ruszyła ofensywa od wschodu i się przybliżała, żeby przyjechał i zabrał ją, bo boi się pozostać w tym środowisku. Zapytał: „Czego się boisz?”. „Boję się, że mogą przyjść wojska nieprzyjacielskie i mnie złapać”. „Oni tu nie przyjdą,

a gdyby mieli przyjść, to masz rewolwer i strzel sobie i dzieciom w łeb". Będą tu zeznawali świadkowie, którzy pracowali w domu Hößa i byli sługusami tego pana życia i śmierci.

Jeżeli mówiąc o tym, unoszę się, to nie dlatego, żeby było warto nad człowiekiem-zwierzem zastanawiać się i sądzić go. Sądzę, że należy mówić o metodach, które naród niemiecki tolerował w czasie paroletniej okupacji, a które dążyły do wyniszczenia milionów obywateli polskich w tak ohydny sposób. Taki naród nie jest godny nazywać się narodem, nie ma prawa zasiadać w rodzinie narodów świata. Najpierw całe pokolenie, które dopuściło do tej zbrodni straszliwej, powinno zostać usunięte i dopiero nowe pokolenie mogłoby być dopuszczone do współżycia i współpracy międzynarodowej w rodzinie narodów świata.

Dlatego podkreślam, że nie chcę mówić o nas, którzyśmy przeżyli obóz. Może to się nawet Wysokiemu Trybunałowi wydać dziwne, żeśmy przeżyli i teraz opowiadamy wszystkie nasze przeżycia, a inni zginęli. Jeżeliby mnie kto zapytał: „Dlaczego przeżyliście?“, odpowiem: „Nie wiem, przypadek, szczęście“. Ale należy podkreślić, że ci, którzy zginęli, którzy złożyli swoje życie w obronie naszego prawa do życia, do ludzkiego prawa do życia, ci są tymi bohaterami, o których należy wspominać i o których należy mówić. To są ci ofiarnicy, którzy złożyli swoje życie za cały naród polski, oddali życie po to, żeby uwypuklić na zewnątrz te wszystkie momenty naszych przeżyć. Dzięki ich krwi, ofiarności i śmierci możemy w tej chwili opowiadać o naszych cierpieniach i walkach w obozach i więzieniach.

**Przewodniczący:** Czy świadek może wymienić nazwiska Polaków, którzy byli specjalnie czynni w organizacji, w założeniu i zapoczątkowaniu organizacji, nadto, jak mniej więcej wyobrażali sobie więźniowie, którzy pracowali w organizacji, możliwość jakiegoś oporu?

**Świadek:** Jak powiedziałem na wstępie, kiedy przyjechałem do obozu, organizacja już istniała. Na czele stali Norbert Barlicki, Stanisław Dubois, Kazimierz Czapiński, Wacław Szymański, a z lekarzy Władysław Fejkiel i Rudolf Diem. To była ta siódemka, która zapoczątkowała organizację podziemną.

W jaki sposób ta organizacja promieniowała? Jak powiedziałem, było bardzo trudno nawiązywać łączność z elementem obcym, bo oprócz Krakowa i Warszawy zjeżdżały potem transporty z Wiśnicza, potem przyjechał transport kielecko-zamojski, potem Lublin. Wśród tych ludzi były jednostki, do których mieliśmy zaufanie i [które] natychmiast były wciągane do organizacji.

Kiedy przyjechałem do obozu i zetknąłem się z komórką organizacji podziemnej, przekonałem się, że wszyscy byli entuzjastycznie usposobieni, że uda nam się jednak stworzyć w obozie własną organizację, która umożliwi nam przeżycie tego krótkiego okresu, bo w 1941 r., kiedy przyjechałem, panowało przekonanie, że zwycięstwo nad hitleryzmem nastąpi najpóźniej [w] 1942 r. Przypuszczam, że może nawet było to przez poszczególne jednostki robione świadomie, żeby podnieść na duchu cierpiących towarzyszy.

Praca ta była dość trudna. Ze światem zewnętrznym mieliśmy kontakt przez komando *Landmesserów* i przez nich dawaliśmy wiadomości na zewnątrz, przede wszystkim do ludności zamieszkałej w okolicach obozu. Nadto istniała centralna komórka organizacyjna w Krakowie, do której kierowaliśmy wiadomości również za pośrednictwem ludności zamieszkałej koło Oświęcimia. W 1942 r. wyniszczono tamtejszych mieszkańców i sytuacja stała się trudniejsza. Wówczas posługiwaliśmy się ucieczkami poszczególnych jednostek dla utrzymania łączności z organizacją zewnętrzną.

**Przewodniczący:** Czy przy nawiązywaniu tej łączności i rozbudowywaniu tej organizacji staraliście się wciągnąć i inne narodowości?

**Świadek:** W 1942 r., w październiku, więźniowie uzyskali pozwolenie na przesyłanie paczek od rodzin do obozu. Początkowo były to paczki półkilowe, potem dochodziły do pięciu kilo. Dzięki możliwości otrzymywania paczek z zewnątrz powstała możliwość otrzymania paczek z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Za zgodą więźnia wysyłaliśmy na zewnątrz jego numer i nazwisko, żeby organizacja Międzynarodowa Czerwonego Krzyża mogła wysłać na jego nazwisko paczki. Podawaliśmy najczęściej nazwisko i numer więźnia, który żadnej pomocy ani od rodziny, ani od naszej organizacji wewnątrz kraju nie otrzymywał. Na nawiązaniu łączności z organizacją Międzynarodową Czerwonego Krzyża zależało nam również dlatego, żeby mieć możliwość donoszenia o naszych przeżyciach i cierpieniach w obozie. To nam się udało, gdyż organizacja nasza dotarła do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

**Przewodniczący:** Organizacja niewątpliwie musiała mieć ludzi czołowych, którzy byli sprężyną. Musiały być również pewne narady w stosunku do wtajemniczonych.

**Świadek:** Od czasu do czasu odbywały się narady bardzo zakonspirowane, żeby nawet wśród więźniów nie było podejrzania. Narady odbywały się od czasu do czasu między dwiema czy

trzema osobami. Nie uważałem za wskazane, żeby większe zebrania się odbywały. Na czele komórki od 1942 r. do końca stał obecny premier Józef Cyrankiewicz.

**Prokurator Cyprian:** Podczas wczorajszych zeznań świadek Dubiel zeznał, że pracując u oskarżonego Hößa jako ogrodnik, słyszał, iż Himmler mówił do Hößa, że musi odejść, ponieważ radio w Londynie za dużo mówi o Oświęcimiu. Czy świadek mógłby powiedzieć, w jaki sposób docierały do Londynu wiadomości o obozie?

**Świadek:** W obozie przez krótki czas – ponieważ później została zlikwidowana – istniała własna stacja nadawcza i tą drogą nawiązywaliśmy kontakt ze światem zewnętrznym. Obawiając się, że przez swoje możliwości techniczne Niemcy mogą tę stację odkryć, postanowiono ją zlikwidować. Przez pewien jednak czas wiadomości szły tą drogą na zewnątrz.

**Prokurator Cyprian:** Czy świadek mógłby coś bliżej powiedzieć o tej stacji? To są szczegóły interesujące – jak się mogła taka stacja utrzymać w obozie tak dobrze pilnowanym?

**Świadek:** Przecież mieliśmy najlepszych specjalistów, którzy byli więźniami. Mieliśmy specjalistów w każdej dziedzinie nauki i sztuki. Mieliśmy cudownych techników i inżynierów, profesorów, którzy służyli również w tej dziedzinie pomocą.

**Prokurator Cyprian:** Ale jeżeli idzie o umieszczenie tej stacji, w jaki sposób ona była zakonspirowana?

**Świadek:** Przyznam, że dokładnie nie wiem, bo to była stacja bardzo ściśle zakonspirowana.

**Prokurator Cyprian:** Czy świadkowi wiadomo, że ta stacja była w bezpośrednim kontakcie z Londynem?

**Świadek:** Wiadomo.

**Prokurator Cyprian:** Czy organizacja, o której świadek mówił, mianowicie ta siódemka, to była komórka naczelna – jak sobie to wyobrażam – to znaczy, czy była to organizacja mająca podkomórki, a więc [czy] była to organizacja o pewnym schemacie organizacyjnym, czy była to raczej luźno powiązana praca?

**Świadek:** W tym momencie, w 1942 r. było bardzo silne powiązanie dwójkami. Siódemka nie była zakonspirowana na zewnątrz, był to sztab, a każda osoba z siódemki nawiązywała

kontakt z pojedynczymi jednostkami, nie wtajemniczając, kto obok tej jednostki jeszcze istnieje. I tak w 1942 r. mieliśmy nawet bardzo prężną organizację, ale wywiezienie dużego transportu do Buchenwaldu popsuło nam ją. Powiązanie, jak mówię, było tylko dwójkami.

**Prokurator Cyprian:** Jeszcze dwa mniejsze pytania. Świadek wspomniał nazwisko Deringa. Czy świadek może powiedzieć kilka słów o jego działalności?

**Świadek:** Czas, o który tu chodzi, to okres do mego przybycia do obozu. O tym okresie nie mogę jako świadek nic mówić, raczej ci, którzy przeżywali te momenty, mogliby tu coś stwierdzić. Ja mogę powiedzieć od 1942 r. o Deringu tyle, że mógł być bardziej ludzki, aniżeli był. Dering jako bardzo szorstki, jako człowiek nieludzki, miał opinię złą.

**Prokurator Cyprian:** Tam był jeszcze jeden lekarz – Zenkteler.

**Świadek:** Jeśli chodzi o Zenktelera, wspomnę jeden moment. W 1942 r., kiedy przyszedł pierwszy transport jeńców sowieckich, nie dezynfekowali ich, jak to było podawane w prasie, w obozie, ale dwa kilometry poza nim. Tam ich rozbierano do naga, a potem wszyscy lekarze oglądali ich, czy ktoś z nich nie jest chory. Jeńców kąpano w zimnej wodzie w październiku, nie dawano im żadnych ubrań ani bielizny, tylko pędzono nago. Zatrzymywano ich przed bramą obozu, gdzie stali jakieś dwie godziny i wówczas mogłem się im przyjrzeć. Pamiętam, jak ze Zbyszkiem Sawanem przypatrywałem się oddziałowi tych nagusów, którzy przed bramą zziębnięci i zlodowaciali się trzęśli.

Spędzono ich nagich na blok 9., nieopalany, a dopiero po trzech dniach wydano im z dezynfekcji ich własną bieliznę i ubrania. Wtedy setki ludzi już w pierwszych trzech dniach zginęły, a w ciągu najbliższych miesięcy, to znaczy do marca 1942 r., została mała grupka ludzi, gdyż reszta zginęła. Dlaczego o tym mówię? Oto jednym z lekarzy, którzy byli przy przyjmowaniu tych ludzi, był Zenkteler. Ponieważ niektórzy lekarze byli przy basenie, gdzie kąpano jeńców, i tam marzli, a inni mieli biurową robotę, umówili się, że co parę godzin będą się zmieniali. Wieczorem do apelu, kiedy już przyszli na blok, rozwinęła się szeroka dyskusja między lekarzami i Zenktelerem, który był atakowany przez nich wszystkich, że siedział przez cały dzień w cieple, a inni koledzy po kolei marzli na dworze. Zenkteler powiedział wtedy: „Co wy mnie obchodzicie. To jest walka o życie, mnie nic nie obchodzi, czy ktoś marznie, czy nie”. Ja wtedy wybuchnąłem pod adresem Zenktelera, a ten mi zagroził: „My się jeszcze spotkamy i jeszcze się policzymy”. Powiedziałem bowiem, że to jest nieludzkie, żeby

Polak wobec Polaków tak się zachowywał, a potem wyrażał się w ten sposób. Później, kiedy Zenkteler został przeniesiony do utworzonego obozu cygańskiego w Oświęcimiu, był bardzo ostrym lekarzem w stosunku do więźniów. Prowadził ambulans, gdzie oglądał chorych. Definiował stan zdrowia i przedstawiał lekarzowi SS. Później przeniesiono go do obozu w Brzezince, stał się podobno katem, a nie lekarzem. Bił chorych na oczach innych chorych. Kiedy ktoś nie mógł się na nogach utrzymać, to traktował go jak trupa, uważał, iż człowiek taki skazany musi być w końcu na śmierć. Jeżeli przedstawił taki stan SS-manowi, to tamten oczywiście od razu decydował o śmierci [więźnia]. Nie byłem tam, w Brzezince, nie mógłbym więcej powiedzieć.

**Adwokat Umbreit:** Czy świadek zetknął się bezpośrednio z oskarżonym i jakie spostrzeżenia mógłby podać co do jego zachowania?

**Świadek:** W 1941 r. zostałem wybrany do robót w [podobozie] Buna. Rozpoczęto bowiem wówczas budowę fabryki syntetycznej benzyny, gumy i karbidu. Ponieważ czułem się nie bardzo silnie, ażebym mógł wstawać o 4.00 czy 3.30 rano i wyjeżdżać pociągiem do Buny, zgłosiłem się do rewiru. Następnego dnia nie stawiałem się do pracy. Ci, którzy zostali jako chorzy, zostali postawieni przed oblicze władz. Wtenczas rzucił się na nas i pan Höß, i jego *Lagerführer*, rzucili się na nas. Powiedział, że nas przedstawi lekarzowi SS, ale zanim przedstawił, wszyscy się rzucili na nas, SS-mani i pan Höß, bili i kopali. Ten moment utkwił mi w pamięci.

Byłem świadkiem zetknięcia się z panem Hößem prawie w tym samym miejscu, kiedy blok 11., kompania karna, przystąpił do budowy bloku 14. Wykopano głębokie fundamenty. Ponieważ jednak w pobliżu płynęła Soła, woda stale je zalewała. Nie można było temu przeciwdziałać. Wpakowano tych ludzi do wody i kazano im kubłami ją wylewać. Ale jakże przestawić łóżysko Soły? Było to fizyczną niemożliwością, nawet gdyby zastosowano pompy elektryczne. Wpadła cała świta, wrzeszcząc, że to jest sabotaż, bo dawno już można by tę wodę usunąć i założyć fundamenty. I na oczach całej tej świty, te zbiry, kapo i *Unterkapo*, waliły łopatami po głowach więźniów, a jak kto wpadł do wody, to go przyciskali łopatą i wypływał trup. Ci panowie na miejscu śmiali się: „Ha, ha”. Na ich oczach to się odbywało.

To są dwa momenty, kiedy obserwowałem pana Hößa. Unikałem oblicza tych panów – nie sprawiało mi to żadnej przyjemności.

**Przewodniczący:** Więcej pytań nie mam. Świadek jest wolny.